

ALEKSANDRA RUMIN

Zbrodnia  
*i Karas*



Copyright © 2018 ALEKSANDRA RUMIN  
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: PIOTR CHOJNACKI

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Wykonanie ilustracji okładkowej: DOMINIK BRONIEK

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-90-3



Wydawnictwo INITIUM

[www.initium.pl](http://www.initium.pl)

e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)

[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA S.A

ALEKSANDRA RUMIN

Zbrodnia  
*i Karas*



WYDAWNICTWO  
INITIUM

KRAKÓW 2019



2006

## Rozdział 1

Czwartek

1

### *Nieboszczyk wieczorną porą*

*Witajcie na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego!  
Porzucicie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić!  
Nieszczęśnicy!*

*Trafiliście na ulicę Wóycickiego, więc musieliście zawalić egzaminy wstępne na wszystkie prestiżowe uczelnie w stolicy. Marzyliście o Uniwersytecie Warszawskim, Szkole Głównej Handlowej, Akademii Sztuk Pięknych, Politechnice Warszawskiej, Akademii Wychowania Fizycznego, Wojskowej Akademii Technicznej czy Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, a wylądowaliście na Uksfordzie! Nie mylić z Oksfordem! Nazwa niby podobna, ale różnica przeogromna.*

*Tak, jesteście nieudacznikami! Przynieśliście wstyd waszym rodzinom! A teraz czeka was pięć lat mordęgi na totalnym zadupiu. Trafiliście tam, gdzie nawet diabeł przestał mówić dobranoc, bo okolicza za bardzo go przygnębiała!*



Tak zdają się wołać mury dawnych koszar Warszawskiej Brygady Obrony Terytorialnej, a obecnie tego zdecydowanie mniej reprezentacyjnego z dwóch kampusów UKSW.

Ten, kto nigdy nie odwiedził północnego skraju Bielan, zwanego Młocinami, niewiele stracił.

Zabytki? Ani jednego.

Widoki, które zapierają dech w piersiach? Mniej niż zero.

Atrakcje? Trudno jakies wskazać, chociaż warto wspomnieć o Cmentarzu Północnym, jednym z największych miejsc pochówku w Polsce, oraz o owianym złą sławą Lasku Młocińskim, w którym dokonano najbardziej bulwersującej zbrodni drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. To by było na tyle. Ach, nie zapominajmy o naszym kochanym Uksfordzie i hordach rozwydrzonych studentów. Oto całe Młociny!

Nie oszukujmy się: każdy, kogo zachwyciły tereny uniwersyteckie z zabytkowym zespołem klasztornym Kamedułów w samym sercu malowniczego Lasku Bielańskiego, przeżyje nie lada szok, wysiadając z brudnego i rozklekotanego autobusu na przystanku Młociny-UKSW.

Pierwsze, co rzuca się w oczy, to betonowe ogrodzenie rodem z innej epoki, a potem jest już tylko gorzej. Klockowaty budynek Wydziału Nauk Historycznych i Społecznych oraz zlokalizowana po sąsiedzku i bliźniaczo podobna siedziba Wydziału Prawa wcale nie są najpaskudniejszymi budowlami na kampusie. O to miano trwa zażarta rywalizacja pomiędzy blaszakiem przy hałdzie ziemi z dwiema smętnymi bramkami (szumnie nazywanej boiskiem) oraz barakiem wciśniętym między stróżówkę i kościółek. Ten

ostatni jest jedynym jasnym punktem na mapie dawnych koszar wojskowych, a okoliczne centrum rozrywki stanowi sklep spożywczy polskiej sieci handlowej MarcPol, którego głównymi zaletami są wygórowane ceny (wiadomo, monopolista!) oraz akwarium z karpiami, na które lubią się gapić studenci.

To wszystko nieważne!, wykrzyczą miłośnicy uksfordzkich klimatów, liczą się ludzie i atmosfera, a tej ostatniej na Młocinach z całą pewnością nie brakuje. Najlepiej wiedzą o tym dwie damy, które znają UKSW od podszewki.

– Co za świnię! A wydawałoby się, że kulturalni i wykształceni. Studenty jedne! Krzyż pański z tą hołotą. Mówiłam Anielce, że ja wcześniej pracowałam w Szpitalu Bielańskim? Tam to się wyprawiało. Z kubłami za nic nadażyć nie mogłam. Pamiętam, jak raz klient wyrwał się pielęgniarkom i fachowo pochlastał, zanim go znowu na ziemię powalili. Cały korytarz w krwawych bryzgach! Jak w horrorze! Pół nocy próbowałam wszystko doprowadzić do porządku, ale jak człowiek młody, to robota pali mu się w rękach! – Jadwiga odłożyła gąbeczkę, sięgnęła po drucziany zmywak i obrzuciła krytycznym spojrzeniem sprzątane przez siebie pomieszczenie.

Toaleta na drugim piętrze budynku Wydziału Nauk Historycznych i Społecznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego robiła przygnębiające wrażenie. Czy to za sprawą paskudnych zgniłozielonych kafelków, które szpeciły ściany? A może z powodu minimalnego dopływu naturalnego światła, którego jedynym źródłem było mikroskopijne okienko pod samym sufitem? Trudno powiedzieć.



Przez ponad dekadę nikt się nie kwapił do przeprowadzenia remontu. Umywalki wyszczerbiły się i pożółkły, podłoga zszarzała, sedesy popękały, a większość drzwi do kabin w ogóle się nie domykała. Obraz nędzy i rozpacz. Nic dodać, nic ująć.

– Żeby jeszcze błędów ortograficznych nie robili! – ciągnęła Jadwiga. – Aż mnie oczy bołą! Niby maturę mają, a zdania poprawnie sklecić nie umieją. I do tego na uczelni z samym świętej pamięci kardynałem w nazwie! – Szybko się przeżegnała. – Czy ja naprawdę muszę wiedzieć, co Jolka K. potrafi zrobić językiem? Jakoś bym przeżyła bez tej informacji! – Spojrzała na towarzyszkę niedoli i dostrzegła jej zatroskaną minę.

– Sama nie wiem, co wybrać. Tyle nam dali tego ustrojstwa! Jakbym tak tego spróbowała? – zapytała niepewnie Aniela i wskazała butelkę z wściekle różowym detergentem.

– Na niebieskie *Jezus kocha cię na maksa*? Wątpię.

– Dlaczego?

– Jak nie wzięło zielonego *Uniwersytetu Koło Samej Warszawy*, to i z tymi bazgrołami sobie nie poradzi. Niezmywalne flamastry, żeby tak ich pokarało! Widziałas te kancianste litery w lewym rogu? Po jakiemu to?

– Chyba po łacinie.

– Po łacinie?!

– W końcu tu sami humaniści studiują.

– Patrzcie państwo! Może i po łacinie, ale na pewno same świństwa! – Jadwiga podejrzliwie przyjrzała się napisowi i zaczęła zawzięcie szorować. – Weź pastę, inaczej za nic nie zejdziesz. Co robisz? Nie bój się, nabierz porządnie.



A teraz szoruj. Nie tak! Z góry na dół, z góry na dół. Dobrze, bardzo dobrze. Dwa, trzy lata ciężkiej harówki i jako tako opanujesz technikę sprzątanania.

– Za parę lat i tak zastąpią nas roboty.

– Ja tam się blaszanej konkurencji nie obawiam. A bo taki robot wie, jak dobrać odpowiednią gąbkę do delikatnej powierzchni, żeby jej nie zarysować przy szorowaniu?

– Jak się go odpowiednio zaprogramuje... Teraz technika idzie tak do przodu, że aż strach się bać. Mojego tatę zredukowali w zakładzie, bo skomputeryzowali jego stanowisko. Pięćdziesięciu ludzi wyrzucili na bruk! Oprogramowanie jest wydajniejsze od człowieka, a do tego nie popełnia błędów i nie robi trzy razy dziennie przerwy na papierosa.

– Pożyjemy, zobaczymy, ale ja się nie martwię. Dobra sprzątaczką zawsze jest w cenie. Ludzie brudzili, brudzą i zawsze brudzić będą – stwierdziła z przekonaniem. – Po prostu nie mogą na to patrzeć. Za mojej młodości na drzwiach toalety wypisywało się wyznania miłosne. A teraz? – Wskazała gniewnie wielobarwną plataninę przekleństw. – Panienci to i tak zachowują odrobinę przyzwoitości, ale w męskim! Bluźnierstwa, pornografia, Sodoma i Gomora! Jakiś żartowniś wyciął otwór w ścianie między kabinami i napisał dokładnie, co tam trzeba wkładać i po co, a obok jeszcze numer telefonu dodał!

– Trzeba było zadzwonić.

– A zadzwoniłam, zadzwoniłam, ale okazało się, że to prywatny numer dziekana prawa. Zero szacunku dla starszych, ale prawdę Anielce powiem, że ja tego obślizgłego padalca po prostu nie trawię. – Jadwiga się skrzywiła. – A to co? Znowu



nie ma papierowych ręczników! Czy te dziewczuchy je zjadają? A może wypychają sobie staniki? – Ze złością uzupełniła pojemnik. – Co ty tak skrobiesz? – zwróciła się do Anieli, która właśnie męczyła się z wyjątkowo oporną plamą.

– Ohyda jakaś! Zielone i gąbczaste. – Wzdrygnęła się i wskazała na zabrudzone płytki. – Szkoda, że nie mamy tutaj Wydziału Biologii, bo przydałby się specjalista od mazi. Co to w ogóle jest?

– Anielko, w tej pracy nie zadaje się takich pytań – stwierdziła Jadwiga. – Po co masz mieć koszmary? – dodała z uśmiechem. – No dobrze, pomalutku kończymy, nie ma co się zarzynać dla stada niewdzięczników. Żeby tak jeden z drugim „dzień dobry” czy „przepraszam” powiedział, ale nie! Wczoraj siusiumajtek z mlekiem pod nosem odepchnął mnie sprzed kabiny i wykrzyknął: „Suń się babo, bo się odlać muszę!” Przetrzepałam go miotłą, ale dobrego wychowania to się już takiego nie nauczy. Nie zdziwię się, jak za kilka lat zobaczę go na Wiejskiej.

– Po tej uczelni będzie tam co najwyżej podłogę zamiatał – mruknęła Anielka.

– Co mówiłaś?

– Nic, nic.

– Przecież słyszałam!

– Nie chciałam pani urazić.

– Urazić? Mnie? Daj spokój! Ty w ogóle wiesz, ile taka sprzątaczką sejmowa zarabia? Kilka razy więcej od pracowników naukowych naszej szacownej uczelni!

– Prawie każdy w tym kraju zarabia więcej od nich! Ucz się, ucz! Później będziesz przymierać głodem!

– Ech, szkoda słów. Nie znam się na sztuce współczesnej, ale tamto mi się nawet podoba. – Jadwiga machnęła ręką w stronę misternie wykonanego rysunku o niewiadomym znaczeniu. – Wypadaloby zaprosić jakiegoś krytyka. Kto wie, czy to nie nowy Picasso? Jak Aniela myśli? Jakiś milioner dalby za takie abstrakcyjne dzieło trochę grosza? – zaśmiała się i polala rysunek nieznanego autorstwa płynem do czyszczenia. – A co ty tak czytasz po kątach, dziecko?

– Ja?

– Widzę przecież, że taszczysz ze sobą tomiszczce wielgachne.

– Lubię się czasem ukulturalnić, pani Jadwigo. Dostojewski. *Zbrodnia i kara*.

– A o czym to?

– O zbrodni...

– ...i karze? – zachichotała Jadwiga.

– O tym, że za każdy nikczemny czyn trzeba w końcu odpowiedzieć. Nawet jak takiego przestępcy nie złapią, to i tak wykończą go wyrzuty sumienia.

– A ten cały Dostojewski nie był Polakiem, co? Bo u nas morderstwa ciągle uchodzą ludziom na sucho. Na przykład mojej kuzynce Eli. Jej mąż nadział się na nóż. Osiemnaście razy. Utrzymywała, że podczas obierania ziemniaków. Zupełnie przypadkowo, panimajesz? Policja stwierdziła nieszczęśliwy wypadek. A Ela wyjechała z bratem męża nieboszczyka do Hiszpanii i coś mi mówi, że sumienie wcale jej nie gryzie! Ale my tu gadu-gadu, a czas płynie! Szorujemy, szorujemy, bo do nocy stąd nie wyjdziemy! O, i nawet mi się zrymowało! – Po minutce drzwi toalety numer dwa świeciły czystością. – Teraz szybko oblecimy profesorską.



– Tam zawsze można zdobyć cenne informacje. Jak podrzucałam po południu papier, zauważyłam na ścianie nowy dopisek na Karasia.

– Że jest ostatnią łachudrą i donosicielem? Żadna nowina!

– Nie. Ktoś nabazgrał, że kupił sobie BMW.

– Zawiść ludzka nie zna granic! – sentencjonalnie rzuciła Jadwiga i spakowała do wiaderka płyny czyszczące.

– Jakoś mi pana profesora nie szkoda.

– Ja bym temu patafianowi w twarz nie napluła, gdyby na moich oczach zdychał z pragnienia. Ale jest w tym coś podejrzanego. Skąd niby wziął kasę? Ja tam się w cudze sprawy nie wtrącam, ale sama parę razy widziałam, jak Piękny Michał pożyczał mu pieniądze.

Na wzmiankę o tym ostatnim Aniela spłonęła rumieńcem. Jadwiga postanowiła nie komentować tego faktu. Obie sprzątaczkі ruszyły ciemnym korytarzem, zatrzymując się przed ubikacją zarezerwowaną dla kadry profesorskiej.

– Zabrałaś ten przeklęty klucz? Zamykają się, jakby tam co najmniej po włoskich marmurach chodzili! – Spojrzała na Anielkę. Takie to niziutkie i chudziutkie, ale charakterne. Nareszcie dali jej fajną dziewczynę do pomocy. Sprzątanie nie było szczytem jej marzeń, ale trzeba przyznać, że starała się, jak mogła.

– Chyba został w schowku.

– No to na co czekasz? Ruchy, dziewczyno, ruchy!

Anielka tak się rozpędziła, że ledwo wyrobiła się na wirażu. Po trzech minutach wróciła. W dłoni ścisnęła imponujący pęk kluczy.

– No, ostatni przystanek. – Jadwiga pogmerała w zamku, otworzyła drzwi, wparowała do środka i sięgnęła do przełącznika, ale światło się nie zapaliło. – Znowu żarówkę ukradli, łajzy jedne. To na pewno ten Pierożek. Już on mnie popamięta! Masz ze sobą zapasową?

– Mam! – odparła Aniela.

– Pójdę, wkręcę, bo się pozabijamy w tej ciemnicy!

Jadwiga po omacku ruszyła w stronę smętnego kinkietu. W następnej sekundzie zdarzyły się dwie rzeczy: sprzątaczką wydała z siebie przeraźliwy ryk i runęła na podłogę.

– O matko! Mało się nie zabiłam! – wrzasnęła. – Ktoś tu leży! A ten tu czego!?! Kto to widział?! Porządna uczelnia, a margines społeczny śpi w klozecie! Pewnie jakiś kloszard albo nawet i gorzej: któryś z doktorantów!

Jadwidze udało się wstać, bo mimo wieku zwinności jej nie brakowało. W ekwilibrystycznej pozie wkręciła podaną przez Anielę żarówkę i toaletę zalała fala jaskrawego światła.

Czas się na chwilę zatrzymał.

Obie sprzątaczkę skamieniały.

Jadwiga wzięła głęboki wdech, bo zrobiło jej się słabo. Kobiety gorączkowo próbowały zrozumieć to, co widzą. Dopiero po chwili dotarło do nich, że na środku przedsiionka ubikacji, tuż pod wiekową umywalką, leży mężczyzna. Cały we krwi.

– Co tu się wyprawia... O Boże! Karaś!?! Panie Erneście! Panie Erneście! Słyszysz mnie pan?! Profesorze?! Halo! Profesorze!?! Co się stało? Co... Matko Boska!

Oniemiała Aniela stała w drzwiach i tak mocno ścisnęła miotłę, jakby od tego zależało jej życie. Z odrętwie-



nia wyrwał ją dopiero przeraźliwy krzyk. Jej własny. Młoda adeptka sztuki sprzątanania wydarła się w niebogłosy, a potem efektownie straciła przytomność, z hukiem lądując na podłodze i przewracając dwa wiaderka wypełnione środkami czyszczącymi.

W tej samej chwili osiem osób przebywających w budynku ruszyło biegiem w kierunku źródła hałasu. Kiedy dotarli na miejsce, Aniela zalegała w progu łazienki na drugim piętrze, ale prawdziwy horror rozgrywał się w środku. Osiem par oczu zamarło z przerażenia, bo Jadwiga Mazuś pochylała się nad zakrwawionym ciałem Ernesta Karasia. Pierwszy z szoku ocknął się Stanisław Leśniewski, emerytowany policjant. Drżącą ręką sięgnął do kieszeni wyświechtanej marynarki i wyciągnął porysowaną nokię. Właśnie wybierał trzycyfrowy numer, gdy usłyszał łamiący się głos Jadwigi:

– Trup – zaskakała. – Całkiem martwy – dodała bez sensu i na dobre się rozbeczała.

2  
*Jadwiga Mazuś*

Ostatnie godziny pamiętała jak przez mgłę.

Najpierw przyjechała karetka, potem policja i zrobiło się straszliwe zamieszanie. Całe szczęście, że dziekan był na miejscu. Jak usłyszał, że młodzietki policjant, któremu ledwo rzucił się meszek pod nosem, wyzywa Jadwigę od zacieraczek śladów i niszczygielek dowodów, od razu wkroczył do akcji.

Wszyscy świadkowie zdarzenia zostali poproszeni o pozostanie w strefie rekreacyjnej na parterze budynku. Zawsze śmieszyła ją ta nazwa, bo czy dwa stoły, kilka krzeseł i zdychającą paprotkę można nazwać strefą rekreacyjną? Spodziewała się, że będzie tak jak na filmach, ale srodze się rozczarowała. Nic tylko pytania, pytania i pytania, a przecież ona nie znała żadnych odpowiedzi. Męczyli ich kilka godzin, ale dziekan wykonał tajemniczy telefon i nastawienie stróżów prawa nagle się zmieniło.

– Kochani, z nikim nie wolno wam o tym rozmawiać. Nie chcemy plotek i najazdu pismaków, którzy zrobią z tej tragedii sensację. A teraz wszyscy do domu! – wydał kilka poleceń i odjechał w siną dal.

Jadwiga nie pamiętała, jak dotarła do siebie. Całkowicie opadła z sił, ale sen nie nadchodził. Karaś zakończył swój ziemski żywot. Krzyżyk na drogę. Starła się go polubić, naprawdę, ale Ernest należał do ludzi wybitnie antypatycznych. Zdarzało mu się krytykować efekty jej pracy, a takiej jawnej potwarzy nie potrafiła przebaczyć. Więcej go nie



przyłapie, jak podszczypuje studentki albo złorzeczy przełożonym. Nie będzie tęskniła za Karasiem, to pewne. Nie mogła sobie wyobrazić, aby ktokolwiek za nim zatęsknił, a uważała się za kobietę obdarzoną niezwykłą wyobraźnią.

Organizm rozpaczliwie domagał się snu, ale zamiast odpoczywać, Jadwiga rozmyślała o mężu. Romek. Dobry był z niego chłopina, ale mu się zachorowało i zmarł przed czterdziestką. Jadwiga przeżyła prawdziwą tragedię. Podobno chwilę przed śmiercią człowiekowi przelatuje przed oczami całe jego życie. Co ona zobaczy, kiedy nadejdzie jej czas? Nie może narzekać, co to, to nie.

Urodziła się na Bielanych i tutaj mieszkała całe życie. Dzielnica nie miała najlepszej opinii. Mieszkańcy z zazdrością spoglądali na zielony Żoliborz, bo i do centrum bliżej, i adres bardziej prestiżowy, ale wielu z nich było lokalnymi patriotami.

Kamienica Jadwigi znajdowała się tuż przy placu Konfederacji, zaledwie kilka kroków od sławnej Płatniczej z jej gazowymi latarniami. Budynek czasy świetności miał dawno za sobą, ale nikt nawet nie myślał o przeprowadzce do bloku. Jadwiga nienawidziła blokowisk, a ich liczba na Bielanych rosła w zastraszającym tempie.

– Mamusia przeniesie się na zamknięte osiedle – proponowali synowie. – Mieszkanie w kamienicy to przeżytek. Tu cieknie, tam się sypie, a mama nie robi się przecież coraz młodsza. Za parę lat ciężko będzie się wspinać po tych schodach. Trzeba myśleć o przyszłości.

Najchętniej już by mnie pochowali, myślała z goryczą, ale kiwała głową i obiecywała, że przemyśli kwestię przepro-



wadzki. Kłamała. Z kamienicy, w której jej rodzina mieszkała od trzech pokoleń, wyniosła ją w czarnym worku i nogami do przodu! Tutaj była wśród swoich. Świetnie знаła sąsiadów, z wieloma przyjaźniła się od dzieciństwa. Z taką Szymczakową chodziły razem do przedszkola u sióstr zakonnych, później do szkoły. Teraz co sobotę jeździły na Cmentarz Wawrzyszewski, bo obie pochowały tam mężów. Szymczakowa aż trzech, więc na znicze i kwiaty wydawała fortunę.

– Od ust sobie odejmę, a nie dam satysfakcji Jędrzejowej i jej kumom! Żeby mnie obmawiały, że na świętej pamięci mężów grosza żałuję! – powtarzała i płaciła za kolejną siatkę wypełnioną nagrobnymi dekoracjami.

W każdą niedzielę Jadwiga spacerowała po Starych Białanach, a te piękniały w oczach. Część ruder, które latami straszyły zapadniętymi dachami i powybijanymi oknami, wreszcie zaczęto remontować. I ludzie jakoś bardziej zaczęli dbać o otoczenie – sadzili drzewa i krzewy, pielęgowali przydomowe ogródki i obstawiali balony wielobarwnymi doniczkami. Za rok, góra dwa będzie tu jak w Paryżu, rozmarzyła się, bo podchodziła do wszystkiego z wrodzonym optymizmem.

Grafciarze nie mieli w okolicy łatwego życia. Polował na nich sąsiad z drugiego piętra – pan Antoni. Wiekowy starszek nie działał sam. Pomagali mu Ramzes i Ptolemeusz. Dwa świetnie wytrenowane dobermany nie znały litości. Z polowań na mażących po ścianach wyrostków wracały całe we krwi. Oczywiście nie swojej, a graficiarzy. Panem Antonim i jego pieskami zainteresowała się nawet policja,



ale skoro poszkodowani nie składali zawiadomień, nie było też przestępstwa. Ostatecznie młodzież o artystycznym zacięciu postanowiła się przenieść do innej dzielnicy. Nikt za nią nie tęsknił.

Bielany miały także ciemną stronę – niezliczone bloki z wielkiej płyty, owianą złą sławą hutę oraz coraz liczniejszy element menelso-przestępczy, ale pani Jadwiga kochała swoją dzielnicę i kropka.

Od niepamiętnych czasów robiła zakupy na Wolumenie. W każdy wtorek, niezależnie od pogody. Pamiętała te zamierchłe czasy, kiedy chłopci zwozili towar konnymi wozami! Znała tutaj każdy zakamarek, świetnie orientowała się, gdzie warto kupić wiejski serek, a gdzie zakup grozi niemałymi sensacjami żołądkowymi. Sprzedawcy odnosili się do niej z respektem, bo pani Jadwiga to nie był byle kto. Nikt nie śmiałby wcisnąć jej starej wędliny albo przejrzałych jabłek.

Kiedy synowie chodzili do przedszkola, często zabierała ich do pobliskiego lasku, gdzie stał bielański słoń, a w święta obowiązkowo odwiedzali okoliczny kościół, żeby podziwiać żywą szopkę z przeuroczym osiołkiem w roli głównej.

Przed śmiercią męża Jadwiga nie pracowała zawodowo, bo wychowywanie czterech synów to harówka na pełen etat. Stan cywilny zmieniła zaraz po maturze, chociaż marzyła o studiach. Romek nie miał nic przeciwko, ale zanim się obejrzała, zaszła w ciążę, a później w kolejną i kolejną. Porzuciła mrzonki o dyplomie.

Czas płynął nieubłaganie. Jednego dnia niańczyła dzieci, a drugiego wnuki. Po odejściu Romka czuła się bardzo samotna. Jadwiga zdawała sobie sprawę z tego, że musi coś

ze sobą zrobić, bo inaczej zwariuje. Wtedy z pomocą przyszła niezawodna Szymczakowa:

– Jadwiniu, przecież ty masz fach w ręku.

– Ja? – zapytała zdziwiona.

– Przecież nie ja!

– Niby jaki?

– Nikt nie ma takiego drygu do sprzątanania! – przekonywała. – Dam ci telefon do Heli. Pamiętasz Helę? To ta wywłoka, co kiedyś startowała do mojego Włodka, świeć, Panie, nad jego duszą. Wiesz, ta z okropną trwałą i tym pie-skkiem z płaską mordą. Jak mu tam... Nieważne. Na pewno ją pamiętasz, a nawet jak nie pamiętasz to i tak możesz zadzwonić. Ona siedzi w sprzątanii od lat i robi na tym prawdziwe kokosy. Co pół roku zmienia samochody!

Jadwiga nie orientowała się, o jaką Helę chodzi, ale zadzwoniła.

– Zapotrzebowanie jest tak duże, że bierzemy właściwie każdego! – usłyszała na zachętę. – Biurowce, apartamenty, hotele. Do wyboru, do koloru, ale dla pani mam coś ekstra: blisko i z dodatkowymi atrakcjami!

I tak trafiła do Szpitala Bielańskiego, została salową. Praca nie należała do lekkich, ale dawała dużo satysfakcji. A śmiechu ile było, bo lekarze to jednak straszni figlarze. Zawsze komuś coś źle przyszyli albo ucięli nie tam, gdzie trzeba. Ile afer przeżyła, ile skandali rozegrało się na jej oczach! Każdy dzień przynosił coś nowego.

Minął rok, potem kolejne, aż doszło do zdarzenia, które wstrząsnęło jej światem.

– Jak pani śmiała! – Krzyk dyrektora było słychać w całym budynku.



– Ale panie... – próbowała mu wejść w słowo przerażona Jadwiga.

– Zwolnienie dyscyplinarne!

– Proszę mi pozwolić wyjaśnić...

– Za drzwiami i żeby mi się pani więcej na oczy nie pokazywała, bo wezwę policję!

Taki skandal! Taka potwarz!

Wina nie leżała po jej stronie. Skąd niby miała wiedzieć, że menel awanturujący się na korytarzu to nowy zastępca dyrektora szpitala i do tego jego zięć, który akurat opił awans z przełożonym i teściem w jednej osobie? Zrobiła to, co zawsze w podobnych sytuacjach: zdzieliła delikwenta brudną szmatą i od razu się uspokoił. W rezultacie musiała spakować manatki i tak się skończyła jej przygoda ze Szpitalem Bielańskim.

– Obijemy mu mordę! – grozili synowie, kiedy im opowiedziała, co się stało. – Rodzona matka go nie pozna! Załatwimy go na cacy! – Ale ona tylko kiwała głową i powtarzała, że nie warto.

Po tym incydencie chciała na dobre rzucić sprzątaninę, bo jakoś straciła do tego serce. Synowa namówiła ją na pracę w sklepie z chemią gospodarczą, ale do tej roboty Jadwiga była po prostu za uczciwa.

– A ten proszek? Poleciliby pani? – dopytywała klientka.

– Strata pieniędzy, kochana – odpowiadała zgodnie z prawdą i proponowała tańszy, ale skuteczniejszy, bo na środkach czystości znała się jak mało kto.

– Warto zainwestować w płyn, który ta znana aktorka reklamuje w telewizji?

- Do niczego się nie nadaje!
- A nowe mleczko do czyszczenia nie porysuje mi wanny?
- I to jak porysuje! Trzeba będzie wymieniać!

Przysłuchujący się rozmowom nowej pracownicy szef na zmianę bladł i czerwiał na twarzy. Nie minął tydzień i Jadwiga dostała wypowiedzenie. Decyzję przełożonego przyjęła ze zrozumieniem.

Na uczelni zaczęła się niecały rok temu. UKSW okazało się prawdziwym darem od losu, nie tylko pod względem zawodowym.

– Kiedyś myślałam, że śmierć Romka oznacza koniec – zwierzyła się Szymczakowej.

– Koniec czego?

– Wszystkiego, Janeczko, wszystkiego.

– Gadanie!

– Ale teraz znowu jestem między ludźmi i z nadzieją patrzę w przyszłość.

– Masz przecież dzieci. Chłopcy kochają cię nad życie i nadal potrzebują matczynej opieki.

– Chłopcy! Raczej stare konie, które pozakładały własne rodziny. Nie chcę być dla nich obciążeniem. Nie wspominałam o tym wcześniej, ale... – Nabrała powietrza. – ... jest pewien mężczyzna.

– Mężczyzna?? – Szymczakowa była wniebowzięta, bo żyła dla plotek, a w szczególności dla tych z romantycznym podtekstem.

– Nie wiem, czy coś z tego będzie, ale bardzo polubiłam Staszka i dobrze nam się rozmawia. Jak czasami zaniósę mu kawałek domowego ciasta, to całymi tygodniami nie może się nachwalić, jaka ze mnie świetna gospodyni.



– Wiadomo nie od dzisiaj: przez żołądek do serca – rzuciła Szymczakowa, bo sama przypalała nawet wodę na herbatę i właśnie rozwodziła się z czwartym mężem.

Tak, ta stara plotkara trafiła w sedno. Jadwiga swoimi zdolnościami kulinarnymi podbiłaby serce każdego mężczyzny, a i przyciągała niejedno pożądliwe spojrzenie. Trochę jej się przytyło w ostatnich latach, ale rude włosy zachwycały połyskiem i puszystością, a skóra jędrnością, więc mogła się podobać.

Jadwiga odwróciła się na drugi bok i ze wszystkich sił próbowała zasnąć.

– Trzeba będzie Stacha skierować na właściwe tory, bo jak będę czekała, aż zrobi pierwszy krok, to się pewnie nie doczekam – wymamrotała do siebie i przeciągle ziewnęła. – Muszę pomóc Anielce. Ta dziewczyna się marnuje, a z tego jej wzdychania do nieodpowiedniego faceta będą kłopoty... – dodała ledwo słyszalnym szeptem, by chwilę później zapaść w zasłużony sen.

*Mgr Aniela Skawińska*

Ledwo trzymała się na nogach.

Zmęczenie czy nadmiar emocji? Nie przyznała się przed policjantem, chociaż powinna. Nie tak ją wychowano. Rodzice wpajali jej szacunek dla władzy i powtarzali, że zawsze trzeba mówić prawdę. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Właściwie nie skłamała, po prostu nie wyznała wszystkiego. Jakie to miało teraz znaczenie?

Z czułością pomyślała o Jadwidze. Towarzystwo tej wesolej kobiety o szczerej twarzy trzymało ją przy życiu. Popelniła błąd, wracając na uczelnię. Kiedy rok temu obroniła pracę magisterską, była przekonana, że cały świat stoi przed nią otworem. Szybko zrozumiała, że zatrzasnął jej drzwi przed nosem, zanim zdążyła do nich zapukać. Tygodniami przeglądała ogłoszenia o pracę i biegła na niezliczone rozmowy kwalifikacyjne. Tygodnie zmieniły się w miesiące, a ona tonęła w niezaplaconych rachunkach, wredny babsztyl, u którego wynajmowała mieszkanie, groził wyrzuceniem na bruk, a na horyzoncie majaczyło widmo konieczności spłacania studenckiej pożyczki.

Aniela obrzuciła krytycznym spojrzeniem kawalerkę, w której zamieszkała cztery miesiące temu. Niby ulica Kwitnąca, ale z całą pewnością nie było tu kwitnąco! Skrzypiące łóżko, stara szafa, dwa krzesła, chybotliwy stół, aneks kuchenny i zapyziała łazienka: oto jej królestwo, pomyślała z goryczą. Mogła przecież poszukać czegoś na Bemowie,



rozważała, bo z rozrzewnieniem wspominała lata spędzone w akademiku na Jelonkach.

– Ale wiocha! Przecież to jakieś kurne chaty! – wykrzyknęła, kiedy po raz pierwszy zobaczyła, gdzie przyjdzie jej mieszkać.

I ona miała tam zostać? Absolwentka liceum w Jezioranach ze średnią 5.0? Aniela wychowała się na amerykańskich filmach dla młodzieży, dlatego akademiki kojarzyły się jej z eleganckimi gmaszyskami usytuowanymi na schludnym kampusie, gdzie w cieniu starych drzew studenci zaczytywali się w poezji. Na przeklętych Jelonkach były tylko kolorowe chaty zbite z desek i mnóstwo błota. Osiedle „Przyjaźń”, bo taką nazwę nosił zespół kilkunastu parterowych budynków, okazało się skupiskiem baraków, w których niegdyś mieszkali radzieccy budowniczy Pałacu Kultury i Nauki. I wszystko jasne!

Aniela przeżyła pierwsze rozczarowanie, ale szybko się otrząsnęła. Pokój należał do przestronnych, dwie współlokatorki sympatyczne, a podłoga z dykty zapadała się tylko w sześciu miejscach. Nauczyła się cierpliwie czekać na swoją kolej do łazienki, a po kilka tygodniach nie zwracała uwagi na przeciekający dach i wszechobecne robactwo. Była wszakże studentką Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, więc do spartańskich warunków po prostu musiała się przyzwyczaić.

Dobre czasy, pomyślała smutno, wierząc się na niewygodnym łóżku. Nie udało się znaleźć pracy tradycyjnymi metodami, więc pod koniec zeszłego roku zdecydowała się na zmianę taktyki i postawiła na dorywcze, dobrze płatne



zajęcia. Na czarno, rzecz jasna. Na pierwszy ogień poszło wyprowadzanie psów jednej paniusi z dzielnicy willowej.

– Niech pani uważa na Coco! – perorowała wypacykowana właścicielka w nieokreślonym wieku. – On jest taki wrażliwy!

Od początku nie polubiła tych wrednych wiewiórek, bo prawdziwych psów toto nijak nie przypominało. Trzy pokraki wlepiały w nią wylupiaste oczy i przeraźliwie ujadły. Trochę się wstydziła pokazywać się z nimi publicznie, bo cała trójka paradowała w odblaskowych ubrankach z cekinami, ale co innego mogła zrobić? Potrzebowała pieniędzy, więc zaciskała zęby i spacerowała w mniej uczęszczanych okolicach. Tydzień później przekłęty Coco najadł się trutki na szczury, którą jeden z mieszkańców pobliskiego bloku rozsypał przy piwnicznym okienku w ramach walki z gryzoniami. Weterynarz rozłożył ręce, nie było nadziei. Coco trafił do psiego nieba, a cała wina spadła na Anielę.

– Ty tłumoku, pozwę cię do sądu! Co z ciebie za idiotka?! – darła się właścicielka, kiedy wyrzucała ją za drzwi. – Morderczyni! Morderczyni!

Aniela umykała ile sił w nogach, nie oglądając się za siebie.

Szybko znalazła nowe zajęcia. Jej nowy pracodawca okazał się zapalonym filatelistą. Aniela miała pomagać w liczeniu i klasyfikowaniu znaczków. Prościzna! Pan Konstanty był gentlemanem starej daty, więc zawsze proponował jej herbatę i częstował ciasteczkami. Mieszkał w wiekowym domu krytym efektowną strzechą. Kiedy gospodarz wychodził po zakupy, Aniela lubiła myszkować



po pokojach. W głębi serca wiedziała, że nie powinna, ale nie mogła się powstrzymać. Te starocie, bibeloty i antyki! Gdzie nie spojrzała – skarb na skarbie. Pan Konstanty miał też setki książek! I te ostatnie stały się przyczyną nieszczęścia. Aniela kochała stare wydania w skórzanych oprawach, więc namiętnie przeglądała biblioteczkę pracodawcy, aż natrafiła na dziwny egzemplarz. Szarpała i szarpała, ale nie mogła wyjąć książki z półki! W końcu coś ją podkusiło i zamiast wyciągać felerny tytuł po prostu go popchnęła. Usłyszała kliknięcie. Cała biblioteczka okazała się sekretnymi drzwiami! To takie ekscytujące, pomyślała uradowana i zanurzyła się w tajemniczej komnacie.

– Nieeeeeeeeeeeee! – wrzasnął pan Konstanty, który wrócił z zakupami i wspiął się na piętro, żeby zaproponować pracownicy kolejną herbatę. – Nie wchodzi tam!!!

– Przepraszam... – zdołała wydukać przerażona Aniela.

Ale było za późno. Jej oczom ukazały się flagi ze swastyką, nazistowskie memorabilia i naturalnych rozmiarów figura Adolfa Hitlera.

– Mogę wyjaśnić... – zaczął zawstydzony gospodarz.

Dziewczyna szybko otrząsnęła się ze zdumienia, wymięnęła pracodawcę i wzięła nogi za pas. Tym razem sama się zwolniła i to ze skutkiem natychmiastowym.

Aniela się załamała. Fuchą ostatniej szansy okazała się dla niej praca w charakterze opiekunki do dziecka. Kochała wszystkie maleństwa, więc tryskała optymizmem. Zaczęła wybiegać w przyszłość i widziała siebie jako współczesne wcielenie Mary Poppins.

Na rozmowę poszła cała w nerwach, bo luksusowy dom na Chomiczówce bardzo ją onieśmielał. Matka trzyletniego Natanka i pięcioletnich bliźniaków – Brajanka i Alanka – okazała się osobą sympatyczną i życzliwą.

– Aniołki, nie dzieci! – zapewniała. – Chłopcy nie stwarzają żadnych problemów, bo praktycznie sami się sobą zajmują. Potrzebujemy kogoś, kto zapewni im opiekę podczas niektórych weekendów, bo razem z mężem wyjeżdżamy na zagraniczne konferencje i seminaria.

Panie przypadły sobie do gustu, Aniela była w siódmym niebie. Taka praca to przecież sama przyjemność, a jakie fantastyczne zarobki!

Po dwóch dniach w towarzystwie aniołków niedoświadczona niania trafiła na pogotowie z licznymi siniakami, zadrapaniami, ugryzieniami, skaleczeniami i podejrzeniem wstrząsu mózgu. Opowiedziała o tym, co ją spotkało, ale lekarz patrzył na nią podejrzliwie. Kiedy wychodziła z gabinetu, pielęgniarka wcisnęła jej garść ulotek i pocieszająco poklepała po ramieniu.

– Nie jesteś sama – wyszeptwała.

Zdziwiona Aniela podziękowała i dopiero w autobusie przejrzała książeczki: „Życie z katem”, „Przemoc domowa i Ty”, „Sztuka oddawania”... Dalej nie czytała. Schowała ulotki do torby i cichutko zaszlochała. Do opieki nad aniołkami już nie wróciła.

Ze smutnych przeżyć zawodowych Aniela zwierzała się rodzicom.

– Kryzys, córeczko – powtarzała mama i zapewniała, że karta kiedyś się odwróci.



Nie odwróciła się. Minęły kolejne trzy miesiące. Magister politologii Aniela Skawińska schowała do kieszeni dyplom wraz z resztkami dumy i zatrudniła się jako sprzątaczką na ukochanej Alma Mater.

Tym razem fortuna się do niej uśmiechnęła, bo o posadę starały się aż cztery koleżanki z kierunku i nawet jedna po prawie. Praca nie była taka zła, ale i tak coraz częściej zastanawiała się nad wyjazdem za granicę. Anka, jej najlepsza przyjaciółka i dumna mieszkanka irlandzkiego Cork, bardzo ją do tego namawiała:

– Nie wyglupiaj się, przyjeżdżaj! – przekonywała podczas ostatniej rozmowy telefonicznej. – Irlandia jest naprawdę cudowna! No może pogoda nie jest najlepsza i jedzenie obrzydliwe, ale nie można mieć wszystkiego!

– Czy ja wiem... – wahała się Aniela.

– Tu pracodawcy biegają za pracownikami, a nie odwrotnie. – Anka nie dawała za wygraną. – W ofertach będziesz mogła przebierać jak w ulęgawkach. Krew mnie zalewa, że po pięciu latach studiów zamiatasz podłogi! Stać cię na więcej, dziewczyno. Weź się w garść i zrób wreszcie coś sensownego ze swoim życiem! Przyjeżdżaj! Nie pożałujesz!

Aniela obiecywała, że się jeszcze zastanowi, chociaż dawno podjęła decyzję. Ostateczną i nieodwołalną. Irlandia znajdowała się tak daleko, a ona bała się zaryzykować. Skoro tutaj poległa na całej linii, to w wielkim świecie nie miała najmniejszych szans!

Zazdrościła odwagi koleżankom z roku: Magda wyjechała do Norwegii i zaczepiła się w luksusowym hotelu, gdzie klienci zostawiali sute napiwki, Milena przeprowadzi-

ła się do Berlina i podbijała rynek gastronomiczny, a Julia nawet nie zaprzętała sobie głowy kończeniem studiów i na czwartym roku spakowała manatki.

– Po co mi ta magisterka? – pytała retorycznie przed wylotem do Londynu. – Dyplom to tylko kawałek papieru, liczą się umiejętności i siła przebicia. Nie bądźcie naiwni! I tak zmarnowałyśmy cztery lata naszej młodości. Mam dość tego zadupia! Dłużej tu nie wytrzymam!

Pół roku później przysłała zaproszenie na ślub, ale Anieli brakowało funduszy, żeby opłacić przejazd do stolicy Wielkiej Brytanii i zobaczyć na własne oczy, jak Julia Chrabąszcz mówi sakramentalne *I do* o trzydzieści lat starszemu gentlemanowi o wdzięcznym imieniu Ashford.

– Ponoć jakiś lord czy inny hrabia – emocjonowała się Magda. – Taka Julka to pożyje. Może nas zaprosi do swojej posiadłości, w końcu jesteśmy dla niej jak siostry.

Jednak świeżo upieczona lady Julie do dawnych koleżanek nie raczyła się odezwać. Widocznie nie pasowały do jej nowego, arystokratycznego wizerunku.

Aniela nie lubiła tego przyznawać, ale UKSW wybawiło ją z kłopotów. Pospłacała zobowiązania i zamknęła usta niedowiarkom z rodzinnego miasteczka, którzy wieszczyli, że wróci ze stolicy z podkulonym ogonem. Zaraz po podpisaniu umowy pojechała do domu i obwieściła wszem i wobec, że oto rozpoczyna wielką karierę na stanowisku Junior Cleaning Specialist. Brzmiało światowo i to się liczyło. Nikt z sąsiadów nie znał angielskiego, ale głupio im się było dopytywać, co taki dziwny zbitek liter właściwie znaczy, więc zawodowy sukces Anieli zrobił na nich niemałe wrażenie.



Rodzicom wyznała prawdę, a oni okazali zrozumienie i pocieszali, jak tylko umieli.

– Żadna praca nie hańbi – stwierdził ojciec, kiedy z płaczem wyznała, że została sprzątaczką. – Jesteś teraz na etapie przejściowym, na pewno znajdziesz coś lepszego.

Tata wiedział, o czym mówił, bo sam wylądował na bezrobociu. Rodzice ledwo wiąźali koniec z końcem, więc Anieli nie przyszłoby do głowy, żeby prosić o pieniądze. Skończyła osiemnaście lat, zdała egzamin dojrzałości i musiała radzić sobie sama.

Tego dnia mama odprowadziła ją na pekaes.

– Wiem, że ci ciężko, ale musisz zacisnąć zęby i walczyć o lepszą przyszłość. Tutaj nie masz po co wracać. – Popatrzyła smętnie na rozwalające się domy, których mieszkańcy dawno uciekli do wielkiego miasta. – Miłość doda ci skrzydeł! – porozumiewawczo uśmiechnęła się do córki.

Miłość. Gdyby chociaż na tym polu Aniela odnosiła znaczące sukcesy, z większą łatwością znosiłaby porażki na polu zawodowym. Wszystkie koleżanki z podstawówki, które nigdy do miasta nie wyjechały, dawno powychodziły za mąż, a większość urodziła dzieci. Unikała ich jak ognia, ale i tak zdarzało jej się usłyszeć:

– A ty nadal bez obrączki? Uważaj, bo zostaniesz starą panną – docinała jej Honorata, lat dwadzieścia cztery, dumna właścicielka męża-recydywisty i dwójki rozwrzeszczanych bachorów.

Co mogła odpowiedzieć? Śmiała się, śmiała, grzecznie żegnała i uciekała do Warszawy.

Za niezliczone niepowodzenia Aniela obwiniała francuskie romanse, których naczytała się w liceum, i amery-

kańskie komedie romantyczne, które nałogowo oglądała. Czekala na księcia z bajki, a potem poznała jego.

Na trzecim roku Piękny Michał skradł jej serce. Przez niego o mało nie zawałiła studiów. Nie mogła się skupić na wykładach, bo płonęła z pożądania. Kochała i cierpiała. Dopadła ją miłość z gatunku tych niemożliwych i Aniela doskonale o tym wiedziała, ale serce nie sługa...

#### 4

### *Stanisław Leśniewski*

Nie sądził, że znowu się zakocha, ale serce nie sługa.

Prawie sześć lat temu Irmina uciekła z jego najlepszym przyjacielem i wszystkimi oszczędnościami. Mógł ją ścigać, miał stosowne kontakty. Inny chłop zaciągnąłby ją z powrotem do domu, a domorosłego Casanovę zastrzelił jak psa, ale jemu nie przyszło to nawet do głowy. Nie miał do niej pretensji, bo na męża po prostu się nie nadawał. Praca w policji całkowicie go pochłaniała, a dom był zawsze na drugim miejscu, więc papiery rozwodowe podpisał bez żalu.

Stanisław ciężko zapracował na opinię znakomitego funkcjonariusza, wiele razy dostawał nagrody. Ze swoimi blisko stu dziewięćdziesięcioma centymetrami wzrostu i szerokimi barami budził powszechny respekt. Z wizerunkiem twardego faceta nie współgrała jedynie sympatyczna twarz ozdobiona komicznym wąsem, co z lubością wytykali mu koledzy z komendy. Stach pozostawał nieugięty, bo wąsy nosił od kiedy skończył dwadzieścia lat i bardzo się do nich przywiązał. To nie zarost



łapie bandytów, a człowiek do nich doczepiony, lubił mawiać. Święta prawda!

Jego największym atutem była fotograficzna pamięć. Wystarczyło, że raz rzucił okiem na twarz i momentalnie trafiała na twardy dysk w jego głowie. Dzięki tej umiejętności odniósł swój jedyny medialny sukces. Pokazali go nawet w telewizji.

Staszek skończył służbę i wracał do domu. Przypadek sprawił, że znalazł się na osiedlowym parkingu w tym samym momencie co poszukiwany listem gończym Cezary K. pseudonim Chabanina, od miesięcy umykający wymiarowi sprawiedliwości. Doświadczonemu gliniarzowi wystarczyło jedno spojrzenie i wiedział, z kim ma do czynienia. O wyczytnie dzielnego policjanta rozpisywały się gazety i tylko jeden dociekliwy reporter zadał sobie pytanie, co funkcjonariusz bez samochodu robił w środku nocy na parkingu. Pozostało ono bez odpowiedzi, ale prawda była taka, że Staszek poszedł tam w bardzo niecznym celu. Uzbrojony w mały kanister na benzynę, planował podpalić samochód. On, odznaczony policjant, chciał popełnić przestępstwo, ale miał swoje powody.

Trzy miesiące po ucieczce Irminy do bloku, w którym mieszkał od dwudziestu lat, wprowadził się nowy lokator. Staszek wpadł na Władka przy windzie i panowie od razu przypadli sobie do gustu.

– Kupiłem to mieszkanie dla mamy. Biedaczka jest sparaliżowana i potrzebuje stałej opieki. Przeprowadzę tylko szybki remoncik, żeby mogła się wprowadzić pod koniec przyszłego miesiąca. Niech się sąsiad nie martwi! Kilka puknięć, kilka stuknięć i będzie po wszystkim! – zapewniał.



– Nie ma sprawy! – odparł z uśmiechem Staszek, bo taki remoncik to przecież ludzka rzecz.

Następnego dnia o szóstej rano Władek zaczął wyburzać ściany, a przynajmniej tak się wydawało Stachowi. Co za huk! Nie dało się tego wytrzymać. Kiedy zakończyło się walenie, rozpoczęło się wiercenie.

– Używa młota pneumatycznego? – zastanawiała się Braciakowa podczas zakupów w warzywniaku.

– Pan jest policjantem, panie Staszku, nie może pan interweniować? – pytała z nadzieją w głosie sąsiadka z naprzeciwka.

– Przecież dłużej tego nie wytrzymamy – wtrąciła się Halinka spod ósemki. – Tynk mi z sufitu odpada, a pies nabawił się nerwicy. Żeby ten bandyta nie hałasował skoro świt. Ja tam czepialska nie jestem, ale o szóstej rano? Nie po bożemu!

Po tygodniach gehenny Stanisław nie wytrzymał i poszedł rozmówić się z dokuczliwym sąsiadem. Pogawędka nie należała do przyjacielskich.

– Jestem u siebie i będę robił, co mi się podoba, a jak się panu nie podoba, niech się pan przeprowadzi! – wykrzyczał mu na jednym wydechu i zamknął drzwi przed nosem.

To oznaczało wojnę.

Lokatorzy zaczęli pisać skargi, ale bez skutku. Tomczak zaproponował nawet wynajęcie płatnego mordercy, ale nie mieli odpowiednich funduszy. Prośby, groźby, wyzwiska – nic nie działało, a remont trwał w najlepsze. Po kolejnym miesiącu piekła Stach nie wytrzymał i postanowił podpalić samochód sąsiada, ale napatoczył się Chabanina i nic z tego nie wyszło.



Kiedy po tygodniu walenie się skończyło, sąsiedzi odechnęli z ulgą. Najnowsza plotka głosiła, że matka Władka wreszcie się wprowadziła, ale nikt jej nie widział na oczy. Od tego momentu stosunki sąsiedzkie układały się poprawnie, aż pewnego pięknego poranka Stanisława obudził przdziwny dźwięk.

Władysław Kowalski rozpoczął naukę gry na dudach. Co za dużo, to niezdrowo! Stach ubrał się i poszedł do sąsiada, żeby obić mu mordę. Władek otworzył drzwi i widząc minę gościa, natychmiast próbował je zamknąć, ale policjant okazał się szybszy. Pchnął dudziarza amatora, aż ten wpadł do dużego pokoju. Napastnik ruszył za nim i... nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na fotelu w salonie siedziała staruszka. Matka Władka była z całą pewnością martwa, o czym świadczył stopień jej zasuszenia.

Stach głośno się zaśmiał:

– Panie sąsiad, coś mi się widzi, że to jednak pan się wprowadzisz i od razu do pokoju ze współlokatorami!

Władysława Kowalskiego skazano za wyłudzenie emerytury należnej zmarłej przed kilkoma laty matce.

Cały blok odetchnął z ulgą, a Stanisław Leśniewski został nagrodzony zasłużonymi brawami.

Na wcześniejszej emeryturze Stach cierpiał na nadmiar wolnego czasu. Po odejściu z pracy zwyczajnie cieszył się życiem i robił wszystko to, na co nie starczało mu czasu przez ostatnie dwadzieścia pięć lat – spacerował po ukochanej Warszawie, jeździł na ryby, przeprosił rower, który od niepamiętnych czasów pokrywał się w piwnicy pajęczynami,

a nawet zaczął grillować. Tak, Stanisław żył pełnią życia, ale czegoś mu brakowało.

Nadeszła jesień, po niej zima, dni robiły się coraz krótsze i Stachowi zaczęło się potwornie nudzić. Jazda rowerem po kałużach i w zaspach jakoś go nie pociągała, a grillowanie przy ujemnych temperaturach mijало się z celem. Jedyną rozrywką Staszka stało się więc oglądanie sportu w telewizji. Najbardziej lubił biathlon, bo połączenie biegania na nartach ze strzelaniem naprawdę go emocjonowało, ale jako wielki patriota nie mógł nie śledzić zmagania skoczków narciarskich i nawet planował wyjazd na Puchar Świata do Zakopanego.

Przed Bożym Narodzeniem postanowił zrobić w mieszkaniu generalne porządki i wyrzucić pozostałości po Irminie. Niewierna żona zabrała właściwie wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, w tym biżuterię, którą Stach odziedziczył po mamusi, ale zostawiła pół szafy nikomu niepotrzebnych szpargałów.

W jednym z pudeł znalazł kilkadziesiąt kłębków wełny i podręczniki do samodzielnej nauki robienia na drutach.

– Ki czort! – wykrzyknął zdziwiony, bo jakoś nie potrafił sobie wyobrazić Irminy zajmującej się robótkami ręcznymi.

Właśnie chciał wyrzucić całe pudło na śmietnik, kiedy coś go powstrzymało. Nudził się jak mops, więc bardziej dla zabicia czasu niż z wiary we własne zdolności manualne Stach wyjął z kartonu druty i otworzył podręcznik na pierwszej stronie.

Po tygodniu intensywnego dziergania trzymał przed sobą dwa znakomicie wykonane szaliki na zimę i zaczął brać się za bardziej skomplikowane wzory. Po miesiącu jego



kolekcja zawierała kilka czapek, rękawiczek i wymyślnych szali.

– Co mam z tym zrobić? – pytał sam siebie, aż wpadł na genialny pomysł. – Pójdę do Zajączkowskiej!

Aldona Zajączkowska mieszkała dwa piętra nad Stachem i należała do najbardziej przedsiębiorczych kobiet w okolicy. Zaczynała od sprzedawania przysłowiowej pietruszki, a teraz miała własny stragan na Wolumenie, na którym wciskała ludziom to, co według jej syna wypadało z ciężarówki na ulicę, a on zupełnie przypadkiem znajdował się w pobliżu, żeby podnieść.

– Pani Zajączkowska – zagadał Stach. – Moja kuzynka robi takie pierdółki na drutach. Spróbowałyby je pani opchnąć? Kobiecie wpadłby grosz przed świętami.

– Nie wiem, nie wiem... – zaczęła, chociaż na pierwszy rzut oka dostrzegła wysoką jakość wełny i pierwszorzędne wykonanie. – ...możemy spróbować, czemu nie.

Handlarka wzięła od Staszka wełniane dodatki i następnego dnia stała przed jego drzwiami.

– Panie Stachu, niech pan dzwoni do kuzynki! Wszystko poszło, wszyściutko, a o ten szaliczek w gwiazdki dwie baby o mało się nie pobily! Potrzebuję piętnastu czapek, dwudziestu par rękawiczek i tyle samo szalików. Niech się kuzynka bierze do roboty, to przed świętami zarobimy fortunę!

Uradowany Staszek chwycił za druty. Pieniądze faktycznie były przyzwoite, a on znalazł nareszcie pożyteczne zajęcie, jednak po zimie przyszła wiosna i skończyło się zapotrzebowanie na jego wyroby. Znowu zaczął się nudzić.

Na UKSW trafił, bo lubił pomagać znajomym. Kiedy Zenek, dawny kumpel z komendy, poprosił go o zastępstwo, zgodził się bez wahania. W portierni na Wóycickiego miał posiedzieć tydzień. W tym czasie Zenek poleciał na ślub córki do Portugalii, ale ze słonecznej Lizbony nie wrócił. Zawał. I tak Stach został nowym panem na uniwersyteckich włościach.

Polubił przydzieloną mu kanciapę, a w budynku zawsze znalazło się coś do roboty.

– Panie Stachu, pomoże pan? – pytali.

A on nigdy nie odmawiał. Myślał, że na komendzie widział wszystko, ale to, co się wyprawiało na Wóycickiego potrafiło go zszokować i wyprowadzić z równowagi.

Rok akademicki zaczynał się Wielką Uksfordzką, czyli doroczną gonitwą pierwszoroczników po zapisy na lektorat. Ci kulturalniejsi ustawiali się w długaśnej kolejce pod budynkiem i cierpliwie czekali na swoją kolej. Nie było roku, żeby kilka osób nie zemdlało z wyczerpania, bo czas oczekiwania wynosił kilka godzin. Ci mniej kulturalni biegli od przystanku i wbijali się do budynku siłą, wymijając kolejkę i udając studentów starszych lat śpieszących się na wykłady. Dochodziło do przepychanek i bijatyk, nieraz lała się krew. Pan Stach stał na posterunku, żeby tych najbardziej krewkich uspokoić. Podczas pracy w policji często bywał na meczach podwyższonego ryzyka i widział kiboli w akcji, ale pseudokibice nie dorastali studentom do pięt.

Nadejście zimy oznaczało początek kłopotów z rurami, które lubiły zamarzać. Studenci siedzieli na wykładach w kurtkach i czapkach, ale to nikogo nie dziwiło. Ot, taki mamy klimat.



Kiedy temperatura spadła poniżej minus dwudziestu stopni, jeden z pierwszoroczników, niezaprawiony w uniwersyteckim boju, zasnął pod ławką podczas, jak można tylko przypuszczać, niesamowicie pasjonującego wykładu. Profesor zakończył zajęcia i zamknął salę. Nieszczęśnika znaleziono dopiero po kilku godzinach w stanie lekkiej hipotermii.

Studenci ogrzewali się jak mogli, więc często popijali podczas przerw, co zazwyczaj kończyło się źle lub bardzo źle. W listopadzie został wezwany do młodzieńca, który założył się z kolegami, że z rozpędu przebije drzwi do toalety. Własną głową. Delikwent wygrał zakład, ale zapłacił za sukces zaklinowaną łepetyną. Żeby go uwolnić, Stach musiał się nieźle napiłować.

Nie było miesiąca, żeby nie zacinały się okna czy zamki w drzwiach, z podejrzaną wręcz regularnością zapychały się toalety, studentom na głowę sypał się tynk, a zwarcia instalacji elektrycznej przestały kogokolwiek dziwić.

Stach tyrał jako złota rączka i ochroniarz w jednym, ale przynajmniej się nie nudził. Większość studentów nie wchodziła mu w drogę i grzecznie się kłaniała. Z kadrą profesorską bywało różnie, ale dało się żyć. Z wyjątkiem...

Karaś sam sobie nawarzył piwa. Szkoda chłopca, bo człowiek to jednak człowiek, ale jeżeli na kogoś miało paść... lepiej, że na niego. Kiedy Stach wszedł do łazienki na drugim piętrze, o mało nie padł na zawał, bo zobaczył ukochaną Jadwigę całą we krwi. Serce mu zamarło. Chwilę później dziękował Bogu, że nic jej się nie stało.

A Karaś? Stach mógłby opowiedzieć policji takie rzeczy, że kapcie by im pospadały. Zawsze kręcił się po budynku, więc słyszał i widział niejedno.

Znał funkcjonariuszy, którzy przyjechali na miejsce zdarzenia. Grzecznie się przywitali, ale dali jasno do zrozumienia, że on już w firmie nie pracuje i ma się od sprawy trzymać z daleka. On im pokaże! Przynajmniej dziekan obdarzył go zaufaniem. Od razu wziął go na stronę i wyjaśnił w czym rzecz, a Stanisław przytaknął. Ten spaślak o dobrotliwym obliczu twardo stąpał po ziemi.

– Pewnie nie uda mi się zasnąć – powiedział do siebie Staszek i od razu zapadł w mocny sen.

Jego ostatnia myśl powędrowała do Stefana. Przez to całe zamieszanie zupełnie o nim zapomniał i trochę gryzło go sumienie.

Biedny Stefcio, pewnie się potwornie wystraszył.



5  
*Stefan*

Gardził ludźmi!

Ich towarzystwo znosił tylko z musu i niewyobrażalnego wręcz lenistwa. Uwielbiał, kiedy mu usługiwali. Był panem, a oni jego poddanymi.

Stefan zdawał sobie sprawę ze swoich atutów: urody, zwinności, charyzmy. Tak, potrafił się ustawić w życiu.

Na UKSW trafił w zeszłym roku. Wyglądał wtedy jak cień samego siebie: brudny, obdarty, przeganiany z kąta w kąt. Jego życie uległo zmianie, kiedy poznał Alojzego, a reszta to historia. Patron został w końcu dziekanem i przeniósł się do jakiegoś odległego lasku. Chciał zabrać go ze sobą, nalegał i próbował przekupić, ale Stefan się nie ugiął, bo nie zamierzał się nigdzie ruszać ze swojego terenu! Alojzy wyglądał na rozczarowanego, ale zrozumiał i wybaczył.

Stefan najbardziej na świecie lubił spokój i ciszę, a ludzie znowu hałasowali. Do wrzasków, szlochów czy pojękiwań w krzakach zdążył się przyzwyczaić, ale te światła i syreny... czegoś takiego jeszcze nie widział.

Przycupnął na drzewie i obserwował. I tak nie miał nic lepszego do roboty, bo MarcPol dawno zamknęli. Uwielbiał patrzeć na karpie pływające w wielkim akwarium.

Gdyby tylko nie musiał ciągle uciekać przed wredną sprzedawczynią.

– Zagrożenie sanitarne! – wrzeszczała na jego widok i łapała za miotłę. – Won!

Jakie zagrożenie?



On, Stefan, drugi tego imienia, zasługiwał na miano najczystszej uksfordczyka pod słońcem! Przecież nie na darmo poświęcał tyle czasu na higienę osobistą!

Ludzie nadal wariowali. Przybywało świateł. Syreny wyły tak głośno, że rozboleły go uszy. Dawno nie czuł się równie zirytowany!

Nagle Stefana przeszył dreszcz.

Wydarzyło się coś strasznego, czuł to w kościach.

W każdej z dwustu czterdziestu czterech kosteczek.

